

ONA ŚPIEWAŁA
„MOTYLEM JESTEM”,
A ON CIERPLIWIE CZEKAŁ,
AŻ POWIE MU „TAK”.
PRZYRZEKŁ,
ŻE JAK OGRODNIK
BĘDZIE PIELĘGNOWAŁ
ICH MIŁOŚĆ.
DOTRZYMAŁ SŁOWA.
TEKST IZA KOMENDOŁOWICZ
FOTOGRAFOWAŁ JACEK POREMBA

Motyl I OGRODNIK



Wyjechałem z Polski 19 lat temu i od tamtej pory byłem w kraju zaledwie kilka razy. Nie tęskniłem, widocznie mam naturę kosmopolity, nie przywiązuję się do miejsca, w którym mieszkam. Ważny jest dom, a ten przecież może być wszędzie. Ale Irena jest wielką patriotką, najlepiej czuje się w Polsce, tutaj ma swoją publiczność. Ona nie potrafi żyć bez śpiewania. Właśnie przyjechałem na miesiąc do kraju, widzę, jaka jest szczęśliwa, ile ma energii. Nagrała ostatnio nową płytę i już myśli o kolejnych, w każdy weekend ma zaplanowane kilka koncertów. Zastanawiam się, skąd ona bierze na to wszystko siłę? Podziwiam jej aktywność, staram się wspierać, ale nie mówię, co powinna robić. Irena jest samodzielną kobietą, a ja zawsze starałem się, żeby taka była. Według mnie, kiedy człowiek bywa ograniczany, gubi samego siebie. W naszym związku zawsze dawaliśmy sobie dużo wolności, nikt nie był niczyją własnością. Byliśmy razem, bo łączyła nas prawdziwa miłość, a nie jakiś przymus czy zobowiązania. Nawet ślub wzięliśmy dopiero po kilkunastu latach i tylko dlatego, żeby Irena i nasza córka Monika mogły dostać wizy amerykańskie i dojechać do mnie. Kiedy Irena pojawiła się w Stanach, na początku nie potrafiła się tutaj odnaleźć. Nie dziwię się, dla mnie także to był szok. Byliśmy przyzwyczajeni do innego tempa życia, pośpiechu, korków i nagle zamieszkaliśmy w spokojnym miasteczku uniwersyteckim. Irena została w domu, kilka razy zaproszono ją na koncerty, ale propozycje występów szybko się skończyły, a ona nie chciała o nic prosić. Szybko okazało się, że nie umie być tylko żoną krzątającą się wokół męża. Wpadła w depresję tak silną, że zaczęła mieć problemy ze śpiewaniem. Konsultowaliśmy się z różnymi lekarzami, w końcu trafiliśmy do światowej klasy specjalisty w Pittsburghu, który stwierdził, że tak reaguje organizm wielu artystów, którzy wspięli się na szczyt, a potem ich kariera uległa załamaniu. Irena cierpiała, ale ukrywała to. Nie wiedziałem, że ona tak bardzo wszystko przeżywa, że płacze po nocach. Chciała wracać do Polski, natomiast ja czułem się w Stanach coraz lepiej. Dostałem wspaniałe wyposażoną pracownię, olbrzymie środki na projekty i pracowałem po kilkanaście godzin na dobę. Nie mogłem stracić takiej szansy. Irena zaczęła sobie organizować koncerty w kraju, wyjeżdżała pięć, sześć razy w roku i odżyła. Myślę, że powoli zaczęła doceniać też plusy życia w Stanach, dorobiliśmy się tam pięknego domu, w którym ona dobrze się czuje. Gdzie będziemy mieszkać w przyszłości? Od dawna planowałem, że na emeryturze przeniesiemy się do kraju. Irena w ubiegłym roku kupiła już mieszkanie w Białoleścu, ale może spróbujemy żyć trochę tu, trochę tam. W Stanach jest przecież Monika, skończyła już studia, pracuje w reklamie. Jej chłopak jest Amerykaninem. Nie wiem, czy przyjadą za nami do Polski. A przecież ani ja, ani Irena nie chcielibyśmy, żeby nasza jedyna córka była tak daleko. Wiem, że kompromisy są niezbędne – tego oboje z Ireną nauczyliśmy się w Stanach. Ona bardzo się zmieniła w ostatnich latach, stała się odważna, umie zaryzykować. Dużo podróżujemy, jedną z najpiękniejszych naszych eskapad była wyprawa Wielkim Kanionem. Podziwiam Irenę, bo przecież dawniej bała się wody, gór i wszystkie te lęki potrafiła pokonać. Jest otwarta, ciekawa świata. Ona najlepiej ze wszystkich znanych mi kobiet posługuje się komputerem, często moi studenci nie potrafią tego, co ona.

MICHAŁ

Jestem profesorem informatyki, w Polsce pracowałem przez kilkanaście lat w Polskiej Akademii Nauk. Naukowiec i piosenkarka. Ireneusz Ireduński, nasz sąsiad z osiedla Groty na warszawskim Bemowie, czasem pytał: „Jesteście z kompletnie innych światów, mimo to ciągle widzę was szczęśliwych. Jak wam się to udaje?”

Po pierwsze: oboje żyjemy w zgodzie z Dekalogiem, po drugie: cenimy skromność, nie lubimy blichtru i ostentacji w żadnej sferze, po trzecie: nie przywiązujemy większej wagi do spraw materialnych. Irena nie zaprzęta sobie głowy finansami, nie musi. Ona jest takim motylem, który fruwa nad ziemią. Czuje się bezpiecznie, bo wie, że ja inwestuję i zadbam o naszą starość. Na pewno to, co najbardziej nas różni, to sposób, w jaki poznajemy świat i rozwiązujemy problemy. Kiedy na przykład kupimy jakieś nowe urządzenie do domu, najpierw dokładnie czytam instrukcję i dzięki temu nigdy nie popełniam błędów. Natomiast Irena od razu chce wszystko uruchomić, włącza każdy przycisk. Zdarza się więc, że coś popsuje, ale ona woli poznawać świat sensualnie, ja rozwiązuję problemy, wcześniej dokonując analizy.

Myślę – może w ustach naukowca zabrzmiałoby to dziwnie – że byliśmy sobie przeznaczeni. Poznaliśmy się pod koniec lat 60. w Leningradzie, studiowałem tam w Instytucie Elektrotechniki. Wcześniej przez dwa lata byłem na elektronice na Politechnice Gdańskiej. Mój profesor prowadził badania nad sztuczną inteligencją, wytypował mnie do Leningradu, bo tam właśnie się tym zajmowa-

wano. Z nauką radziłem sobie świetnie, miałem sporo wolnego czasu. Przez dwa lata uczęszczałem na kurs historii sztuki do Ermitażu, dlatego czasem oprowadzałem gości z Polski. Irena – wtedy początkująca wokalistka – przyjechała na koncerty z popularnym zespołem Polanie. Grupa była bardzo sympatyczna, zaprosiłem wszystkich do akademika. Zespół wygrywał melodie na talerzach, a ona stała oparta o szafę i śpiewała. Nie pamiętam, jaka to była piosenka, ale nigdy nie zapominałem spojrzenia Ireny. Ona ma piękne oczy – takie, przez które można zajrzeć w duszę. Zaprosiłem ją na wernisaż, poszliśmy parę razy na spacer. Mówiła, że wybiera się do Francji. Niezłe znałem francuski, więc uczyłem ją słówek. Irena zrobiła na mnie wielkie wrażenie, czułem, że się zakochałem. Wkrótce wyjechała, pisywaliśmy do siebie, ale gdy znalazła się w Paryżu, listy przestały przychodzić. Wróciłem do Polski, zaczęłam pracę w PAN, ożeniłem się. Irenę spotkałem przypadkiem w Pałacu Kultury, gdy poszedłem na pokaz mody, w którym brała udział siostra żony. Odnowiliśmy znajomość. Kiedyś wybrałem się na jej koncert w Sali Kongresowej, umówiliśmy się, że później odwiezie ją do domu. W drodze zdarzył się wypadek, mnie właściwie nic się nie stało, ale Irena została poważnie ranna, obawiano się, że straci wzrok. Codziennie chodziłem do niej do szpitala, podtrzymywałem na duchu. W nocy nie mogłem spać. Moje życie z pozoru wydawało się dobrze zorganizowane, żona miała dobrą pracę w centrali handlu zagranicznego, teść był generałem, więc wiodło nam się lepiej niż innym. Nagle zrozumiałem, że chcę zacząć wszystko od początku. Nie wiedziałem, czy zostanę z Ireną. Ona była wtedy u szczytu sławy, bałem się, że szybko się mną znudzi, ale pomyślałem, że nawet jeśli będziemy szczęśliwi tylko przez miesiąc czy dwa, to i tak warto spróbować. Od tamtej pory minęło 30 lat i ja nawet przez moment nie miałem wątpliwości, że spotkałem kobietę swojego życia. ■

Późną jesienią 1968 roku, byłem wtedy początkującą piosenkarką, pojechałem z zespołem Polanie w swoją pierwszą zagraniczną trasę koncertową, po Związku Radzieckim. Tuż przed Bożym Narodzeniem dotarliśmy do Leningradu. Przy okazji zorganizowano nam wizytę w Ermitażu, miał tam na nas czekać przewodnik, ale się spóźnił, więc zaczęliśmy zwiedzać sami. Doszliśmy już do skarbcza, gdy dogonił nas młody chłopak. Był miły, bardzo przystojny i o każdym obrazie opowiadał z pasją. Michał studiował w Instytucie Elektrotechniki w Leningradzie. Zbliżały się święta, zaprosił cały zespół do akademika. Zaprzyjaźniliśmy się, Michał oprowadzał mnie po mieście. Byłam oczarowana jego erudycją, ale miałam wtedy chłopaka w Polsce i nie chciałam wchodzić w żaden romans. Gdy wróciłam do kraju, pisywaliśmy do siebie listy. Te jego były bardzo romantyczne, w formie wierszy. Na przykład porównywał w nich siebie do ogrodnika, który pielęgnuje kwiat, a tym kwiatem miałabym być ja. Wkrótce wyjechałam na stypendium do Paryża i straciliśmy ze sobą kontakt. Minęło dziewięć lat. Wysłałam za męża za Mariana Zacharewicza. Był moim menedżerem, napisał dla mnie kilka pięknych piosenek, m.in. „Wymyśliłam cię”. Oboje zatracaliśmy się w pracy, wszystko było podporządkowane mojej karierze, która coraz bardziej się rozwijała. Rzadko bywaliśmy w domu, ciągle coś się działo: wyjazdy, nagrania. Kiedyś wystąpiłam w Pałacu Kultury i Nauki. Gdy wybiegałam z koncertu, jakiś mężczyzna zawołał: „Irena!”. To był Michał. Umówiliśmy się na kawę, potem spotkaliśmy się jeszcze parę razy. Kilka miesięcy później zaprosiłam go na swój koncert. Po występie miał mnie odwiedzić do domu, gdzie czekał na nas Marian, planowaliśmy razem obejrzeć film. Na rogu ulic Anielewicza i Marszałkowskiej doszło do wypadku, w malucha prowadzonego przez Michała wjechał duży samochód. Nie miałam zapiętych pasów, wypadłam przez przednią szybę i uderzyłam głową o kant podnoszącej się maski. Przez 14 godzin byłam nieprzytomna. Gdy obudziłam się w szpitalu, usłyszałam, że na szczęście nie będę inwalidką. Leżałam i rozmyślałam. Po raz pierwszy od dawna miałam dużo czasu na refleksje. Zaczęłam siebie pytać: „Po co tak pędzę?”. Uświadomiłam sobie, jak bardzo tęsknię za wymarzonym domem, rodziną, spokojem. Często odwiedzał mnie Michał, dużo rozmawialiśmy. On też dojrzał do zmian w swoim życiu. Zrozumiałam, że nasze ponowne spotkanie nie było przypadkowe. Postanowiłam rozstać się z mężem. To nie była prosta decyzja. W końcu jednak zamieszkałam z Michałem, najpierw w wynajętych mieszkaniach, później we własnym domu na osiedlu Groty na Bemowie. Tu przeżyliśmy dziecięć cudownych lat, urodziła się nasza córka Monika. Michał pracował w Polskiej Akademii Nauk, ja koncertowałam, choć zwolniłam tempo. Niechętnie wyjeżdżałam w długie trasy, bo miałam dom, o jakim zawsze marzyłam – pełen miłości i ciepła. Michał szalenie mnie wspierał. Gdy występowałam, opiekował się Moniką. Dom był jego pasją. Zanim się przeprowadziliśmy, codziennie jeździł na budowę, pomagał robotnikom, kupił nawet fachowe książki i sam zajął się jego wykończeniem. Wciąż coś ulepszał, gdy wracałam z trasy, zawsze czekała na mnie niespodzianka. Michał czymkolwiek się zajmuje, robi to z zaangażowaniem. Kiedy zostaliśmy parą, byłam bardzo popularna. Czasami Michała nazywano panem Jarockim, ale on się tym nie przejmował. Traktował mnie jak żonę, a nie gwiazdę, której należą się specjalne względy. Nauczyłam się gotować i nawet odkryłam w tym przyjemność. Szkoda tylko, że po każdym moim kucharzeniu pozostawała góra garnków. Mi-

chał śmiał się, że dłużej myję naczynia, niż przygotowuję obiad. Czasami dopadały mnie wyrzuty sumienia, że on – taki zdolny – powinien bardziej poświęcić się pracy naukowej, a nie prowadzić dom, ale Michał nigdy nie narzekał. Zresztą miał sukcesy, kilka razy w roku jeździł na konferencje zagraniczne, publikował w światowej prasie. W 1989 roku zauważyli go Amerykanie i zaproponowali pracę – mógł wybrać sobie jeden z kilkunastu uniwersytetów. Zdecydował się na Centrum Naukowo-Badawcze przy uniwersytecie w Morgantown w Wirginii Zachodniej. Razem z Moniką dotarliśmy tam dziesięć miesięcy po nim, chciałam, żeby córka skończyła rok szkolny – była wtedy w pierwszej klasie, ja nagrywałam płytę, wykańczałam nasz dom. Michał dostał dwuletni kontrakt i nawet przez myśl mi nie przeszło, że zostaniemy dłużej. Wyjeżdżałam pełna optymizmu, myślałam, że w Stanach będę robić karierę, wcześniej koncertowałam tam dla Polonii i byłam entuzjastycznie przyjmowana. Wkrótce przekonałam się, że wszystko układa się inaczej, niż sobie wyobrażałam. Monika poszła do szkoły, Michał wracał późno z pracy i nie miał dla nas czasu. Ciągle płakałam, miałam o wszystko pretensje, myślałam: „Dlaczego jemu jest tak dobrze, skoro mnie jest tak źle?”. Michał poświęcał nam weekendy, organizował wycieczki, ale to niewiele pomagało. Widział, że wpadam w depresję.

IR[NA

W końcu poradził, żebym razem z córką pojechała do Polski. Powiedział: „Zostań tam tak długo, jak chcesz, wrócisz, jak za mną zatęsknisz”. W Warszawie poczułam się fantastycznie, nagrałam program telewizyjny, udzielałam wywiadów. Ale już po miesiącu zaczęło mi brakować miłości i bezpieczeństwa, które dawał mi Michał,

marzyłam, żeby się do niego przytulić. Wiedziałam, że muszę dokonać wyboru: albo rodzina i dom w Ameryce, albo zostaję w Polsce i śpiewam. Zaczęłam przypominać sobie wszystkie piękne chwile z Michałem. Było ich tak wiele, rozumiałam, że nie chcę tego stracić. Wróciłam do Stanów z innym nastawieniem, przestałam się nad sobą uzalać. Zgłosiłam się do klubu polskiego w New Jersey i natychmiast zorganizowano mi koncert. Odżyłam i jednocześnie nastąpiło totalne odrodzenie w naszym małżeństwie. Kiedy Michał dostał propozycję nowej pracy, nie protestowałam. Od tamtej pory przeprowadzaliśmy się kilka razy, sześć lat temu zamieszkaliśmy w Teksasie. Mój mąż jest profesorem na Texas Tech University w Lubbock, odnosi międzynarodowe sukcesy. Jestem z niego taka dumna! Myślę, że on ze mnie też. Występuję dla Polonii i dla Amerykanów, a od kilku lat coraz częściej przyjeżdżam do Polski. Michał doskonale rozumie, jak ważne jest dla mnie śpiewanie. Cieszy się, gdy widzi mnie szczęśliwą. A rozstania nigdy nie zagroziły naszemu związkowi, ufamy sobie całkowicie. Rozmawiamy na Skypie kilka razy dziennie. Oczywiście komputer nie zastąpi przytulenia, pocałunku, ale za to, gdy jesteśmy razem, zachowujemy się jak młode małżeństwo. Michał często mi powtarza, że ja w każdym wieku jestem dla niego piękna. On tak ładnie potrafi mówić o naszej wspólnej starości. Planuje, że będziemy podróżować, uczyć się tańca towarzyskiego, ale ja nie myślę jeszcze o odpoczynku. Moje sprawy zawodowe w kraju układają się coraz lepiej, właśnie nagrałam płytę, mam zorganizowane koncerty na kilka miesięcy naprzód. Najważniejsze, że Michał dojrzał do powrotu do Polski, w przyszłym roku idzie na emeryturę, chciałby swoją wiedzę przekazać polskiemu środowisku naukowemu. Planujemy przeprowadzkę. Znowu zaczniemy się urządzać, ale takie rewolucje sprawiają, że ciągle czujemy się młodzi. →